Rok I. WE LWOWIE, dnia 15. listopada 1892. Nr. 10.

PRZEGLĄD EMIGRACYJNY

DWUTYGODNIK EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Review of the Polish Emigration Austria, Lemberg.

Prenumerata wynosi:

	Roczna	Półroczna	Kwartalna
W monarchii austryacko-węgierskiej	4 złote reńskie	2 złr.	1 złr. 10 ct.
„ cesarstwie rosyjskiem	4 rubli srebr.	2 rs.	1 rs. 10 k.
„ „ niemieckiem	8 marek	4 mk.	2 m. 20 fn.
„ Francyi i krajach unii łacińskiej	10 franków	5 fr.	
„ Anglii	8 szylingów	4 szyl.	
„ Stanach Zjednoczonych	2 dolary	1 dol.	
„ Brazylii	4 milrejsy	2 milr.	
„ Argentynie	4 peso nacional	2 peso nac.	

Redakcya i Administracya: Lwów Ossolińskich 11.

Prenumeratę dla **Ameryki Północnej** przyjmuje Kantor kolportacyjno-księgarski K. Sawicki Chicago Ill., 572 Noble ulica.

Dla Lwowa prenumerata, ekspedycya i sprzedaż numerów pojedynczych po 20 ct. w Biurze dzienników ul. Karola Ludwika l. 3.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) za pierwszy raz 10 ct. w. a. za każdy następny raz po 5 ct. w. a.

Nowa kolonizacya polska w Brazylii.

Korespondencya z Curityby 27. września.

Dwa miesiące temu opuściłem Buenos Ayres, i oto wędruję po Brazylii przyglądając się z ciekawością rezultatom, jakie wydaje polskie wychodźctwo po dwuletniem blisko osiedleniu na tej ziemi.

W Rio de Janeiro zastałem domy emigracyjne puste, zato w mieście dość znaczną liczbę rodaków naszych, przedewszystkiem rzemieślników. Zarobek mają oni tam dobry, uskarżają się jednak wszyscy na wysokie ceny artykułów żywności i mieszkań z powodu nizkiego kursu pieniędzy brazylijskich. Wielu z nich wybiera się do Argentyny. Odradzałem im tę podróż, ze względu na to, że tam kurs pieniędzy jest prawie dwa razy niższy od tutejszego — a przytem zastój w interesach większy. Odradzanie to jednak nie na wiele się przyda, gdyż z liczby wychodźców tu przybyłych w przeciągu ostatnich dwóch lat, zaledwie mała część pożegnała się z myślą zbierania złota po ulicach i postanowiła dojść własną pracą do niezależnego bytu.

Prawda, że złodziejstwo i inne niegodziwości popełniane przez urzędników emigracyjnych są poprostu olbrzymie, prawda, że niektóre prowincye Brazylii są dla egzystencyi naszego ludu niemożliwe, prawda, że w niektórych koloniach ryzykownej pracy trzeba, by dojść do pomyślnych rezultatów — prawda jednak i to, że w wielu prowincyach ludzie nie pozbawieni chęci do pracy, dobrej woli, i posiadający przytem parę rąk zdrowych i silnych mogą wyrobić sobie stanowisko niezależne i byt o wiele lepszy niż w Europie.

Myśli te nasunęły mi się, gdym zwiedzał kolonie polskie Rio Pequeno i Capivari w prowincyi Saō Paolo (blisko prowincyi Parana i stolicy jej Kurityby. Red.)

W Rio de Janeiro nikt z naszych nie wiedział o istnieniu tych dwóch placówek polskich, to też zdziwiłem się bardzo, przybywszy do Saō Paulo, gdym o nich usłyszał. Ma się rozumieć, że postanowiłem je zwiedzić.

Wyjechałem więc z p. Adolfem Blochem, przewodniczącym tutejszego towarzystwa polskiego, koleją prowadzącą do Santos. Po półgodzinnej jeździe stanęliśmy na stacyi Saō Bernardo. Ze stacyi ruszyliśmy powozem do miasteczka, noszącego tę samą nazwę, stamtąd zaś konno do kolonii.

Odległość stacyi Saō Bernardo od Saō Paolo wynosi 20 kilometrów, od stacyi do miasteczka 6 kilometrów, stamtąd zaś do kolonii 14 kilometrów.

Obydwie kolonie stykają się z sobą, od środka jednak Rio Pequeno do środka Capivari liczą przeszło 5 kilometrów.

Położenie ich jest piękne. Leżą one wśród gór i lasów dziewiczych na wysokości 750 metrów nad powierzchnią morza. Przeciętna temperatura wynosi +18.80.

Powietrze jest zdrowe. Komunikacye znośne. Niewielka stosunkowo odległość od miasta ułatwia zbyt produktów pracy i nabywanie artykułów niezbędnych do użytku domowego. Od niedawnego czasu istnieje na kolonii sklep spożywczy założony przez wspomnianego p. Blocha, przez co koloniści nie są narażeni na stratę czasu i brnięcie często po kolana w błocie dla nabycia byle jakiej drobnostki u kupców w Saō Bernardo. Sklep ten i pod tym względem ma wielkie znaczenie, że wyrywa kolonistów z rąk wendzisty (kupca), dającego na o a l e (kartki rządowe), zdzierającego niemiłosiernie i będącego zwykle w spółce z dyrektorem kolonii.

Na obydwu koloniach prawie wszystkie działy zajmują Polacy. Jest ich tutaj przeszło 120 rodzin. Z tych 63 rodzin na Rio Pequeno, reszta na Capivari.

Główny dochód kolonistów stanowi drzewo budulcowe. Prawie wszyscy zajmują się traczką. Bliżsi drogi, prowadzącej do miasta, pracują na własny rachunek, dalsi zaś wynajmują się pierwszym dziennie lub pracują od tuzina zerżniętych desek.

Praca wre tu na każdym kroku.

Wśród wielkich wyrąbów leśnyeh wznoszą się chaty z desek lub bali pobudowane, kryte liśómi palmitów, zupełnie podobne do tych dalekich, naszych, polskich dworków szlachty zaściankowej. Na każdej chacie, na każdym kroku znać piętno ciężkiej mozolnej pracy, długiej walki o ten kawałek wykarczowanego gruntu, jednocześnie jednak, jak uśmiech lepszej doli błyszczą ścieżki starannie ubite i przyozdobione pękami kaktusów, maleńkie ogródki kwiatowe lub bielone ściany chat niektórych wzorzysto malowane przez domorosłych artystów. Dobrze gdzie były piła, dłuto i pomoc rąk innych; jak często jednak tylko rąk para i topór las trzebiły, belki rąbały i stawiały chatę od podwalin do szczytu dachu! Rezultat takiej wytwałej pracy widziałem na kolonii Capivari u kolonisty Niedzielskiego.

Obok każdej chaty zielenią się mniej lub więcej liczne zagony kapusty, sałaty, buraków, grochu, marchwi, pietruszki i innych ogrodowizn. Pośród pni wypalanych zieleni się kukurydza, gdzieniegdzie zaś z ziarnek przypadkowo znalezionych wyrosły pęki jęczmienia lub żyta.

Jakże dziwnie wyglądają te wyniki pracy dwuletniej obok kilkudziesięcioletniej pracy rzadkich ko lonistów brazylijczyków. Tu chęć działalności, życia, tam ospałość, marnota. Tu domy mieszkalne z desek, starannie wykończone i ozdobione, tam poprostu chlewy z chrustu i gliny, pełne szpar i dziur, bez najmniejszej oznaki o dbałość lub jaką taką wygodę. Tu wozy o kołach szprychowych, tam ciężkie arhy z kołami cięższemi od wozu, wyciętemi z jednego kawałka drzewa. I tak bez końca.

Narzekają Brazylijczycy na naszych, przeklinają wychodźców, a jednak dzięki im tylko, niedostępne przedtem nietylko dla człowieka, ale nawet dla zwierzęcia, miejsca stają się ogniskami życia. Dzięki im tylko nędzne osady jak Saō Bernardo, Curityba, Rio Negro i inne stają się miastami pełnemi widoków rozwoju i wielkości.

Żałują oni sum wydanych na tę emigracyę — widząc tysiące nicponiów i żebraków, okradających lub żebrzących po miastach, nie zważają jednak na to, że ta mała część, która osiadła się i pracuje szczerze, wytworzy więcej przez lat dziesiątek niż dziesięciokrotna liczba Brazylian zdołałaby przez wiek wytworzyć.

Z drugiej strony sensu poprostu nie mają narzekania, pełne sentymentalizmu, i niefortunne wydawanie dziesiątków tysięcy rubli na powracanie do kraju wychodźców pozbawionych grosza i chęci do pracy. Ostatnie bowiem wychodźctwo z jednej strony pozbawiło kraj wielkiej liczby szumowin społecznych, — z drugiej zaś dało ludziom prawdziwie żądnym pracy byt lepszy niż mieli w kraju. Lepiej więc było urządzić kosztem kilkunastu tysiecy rubli biuro informacyjne, w którym z portów tutejszych, i tym sposobem skierować te tysiące ludu naszego pozbawionego przewodników na miejsca, w których znalazłyby odpowiednie warunki egzystencyi i nie marniałyby z chorób i nędzy spowodowanych nieświadomością, niż wydać tę sumę na powrócenie do kraju kilkuset osobników.

Wspominam o tej sprawie już dawno minionej dlatego, że nie czytałem jeszcze w żadnem piśmie o rezultatach, jakie ona wydała.

Oto wysłanie do kraju kilkuset ludzi, zdemoralizowało tu dziesiątki tysięcy; rozeszła się bowiem lotem błyskawicy po koloniach wieść, że rząd powraca do kraju tych wszystkich, którzy sobie tego życzą; ci więc wszyscy, którzy nie mieli najmniejszej chęci do pracy lub rozczarowali się w swych marzeniach, rzucali miasta i kolonie nawet takie, w których mieli przyszłość zapewnioną i szli gromadami, namawiając przytem mniej chętnych do tej wędrówki groźbą i prośbą, do miast portowych, gdzie zalegli domy emigracyjne, domagając się powrotu. Rio de Janeiro, Paranagua, Santos, Porto Alegre i inne porty były pełne tych ludzi. Z początku karmiono ich i starano się im wyperswadować, że żądania ich nie mają żadnej podstawy; gdy jednak to nie pomogło i do tego powstały w domach emigracyjnych zbrojne bunty — odmówiono im wszelkiej pomocy. Wielu więc pomarło z nędzy i chorób, resztę zaś wyrzucano po prostu bagnetami z przytułków i porozsyłano to do wojska, to do fabryk, to gdzie przypadło. Z tych zaś, którym udało się dostać kosztem składek publicznych do ojczyzny, wielu powraca nazad do Brazylii; w Rio de Janeiro osobiście poznałem kilka takich osób, wieln zaś nie posiadając funduszów, pisze do swych znajomych prosząc o ułatwienie przejazdu

Czy więc nie zostały zmarnowane te kilkanaście tysięcy rubli zebranych drogą składek publicznych?

Nie! — Wydały bowiem parę tomów opisów Brazylii zwiedzonej w przeciągu półtora miesiąca!

Wracam do kolonii. Skończywszy z nędzą, zaczynają myśleć koloniści o potrzebach duchowych.

Trzeba widzieć i słyszeć, by uwierzyć jak gorąco ich zaspokojenia pragną. Kawał starej gazety polskiej lub książka z powyrywanemi kartkami, z rąk do rąk kursują; kilka słów polskich dobitnych, a nawet grubiańskich, lecz serdecznych i prawdomównych do tego ludu przemówionych — łzy i uniesienie wywołują — nie trzeba więc o nich zapominać.

Litości ani łaski on nie potrzebuje jest bowiem dość silny i żywotny by nie zginąć, wymaga jednak, by się nim interesowano, by potrzeby jego duchowe zaspakajano, by nakoniec w starym kraju ojczystym wiedziano, że w razie potrzeby, te dalekie placówki polskie też na coś przydać się mogą.

Podczas pobytu mego w Saõ Paolo, postanowiło tamtejsze towarzystwo Polskie rozszerzyć swą działalność na kolonie w Rio Pequeno i Capivari. Dla omówienia tej sprawy wybrano miasteczko Saõ Bernardo. Rannym pociągiem przybyli ze sztandarami członkowie towarzystwa z Saõ Paolo, z kolonii piechoto i konno przywędrowało kilkudziesięciu kolonistów. Ruszono pochodem przez miasto. Wśród konnej eskorty powiewał przodem piękny sztandar towarzystwa. Trzeba było widzieć, z jaką dumą i radością spoglądały tu dziesiątki twarzy ogorzałych na orła białego, szeleszczącego im nad głowami. Z jaką gotowością zapisywali się w poczet członków i składali pieniądze.

Czy nie jest więc świętym obowiązkiem naszym zajęcie się krzewieniem oświaty i utrzymanie ciągłych stosunków z tymi naszymi braćmi, wśród których coraz silniej budzi się miłość do dalekiej ojczyzny i chęć służenia jej choćby życiem.

Przegląd Emigracyjny, w tym celu założony, przyjmie bez wątpienia na swe barki wykonanie zleceń, tyczących się kupna książek, dzienników itp., nie poszczędzi rad serdecznych w zapytaniach mogących się przyczynić do rozwoju towarzystw polskich lub ich urządzenia, trzeba jednak, by ta mała garstka inteligencyi naszej, która żyje rozrzuconą po miastach brazylijskich pojęła ważność obowiązków, jakie na nie wkłada wyższość umysłowa względem mniej oświeconej braci i uzbroiła się w maleńką dozę poświęcenia i cierpliwości. Jej pośrednictwo przy niewielkiej nawet pracy może doprowadzić do świetnych rezultatów.

Już obecnie ta nieodzowna potrzeba łączenia się i utrzymania stosunków z krajem rodzinnym zaczyna powoli krzewić się coraz bardziej. Dowodem tego towarzystwa polskie, istniejące w Rio de Janeiro, w Saõ Paolo (w połączeniu z koloniami Rio Pequeno i Capivari), Curitybie, Saõ Matheo i Porto Alegre. Razem więc z istniejącem w Buenos Ayres posiadamy obecnie w Południowej Ameryce sześć towarzystw polskich. Są one zarodkami przyszłej organizacyi przyszłego Związku Narodowego Polskiego w Ameryce Południowej.

Niebawem też i wymiana zdań, a także wzajemne stosunki pomiędzy temi towarzystwami zostaną ułatwione, za kilka bowiem tygodni pojawi się w Curitybie pierwszy numer „Gazety Polskiej w Brazylii.“

A więc bracia, członkowie towarzystw polskich polskich w Ameryce Południowej, śmiało naprzód do pracy! Jak już powiedziałem wystarczy odrobina poświęcenia i cierpliwości. Niech was przytem nie odstraszają tak częste pomiędzy nami plotki i chwilowe zniechęcenie spowodowane ciężką pracą o chleb powszedni, niech ani na chwilę nie opuszcza was myśl o ojczyźnie i o tem, że przyszłość jej jest, jak mówi poeta:

Świetna, świetna jak myśl ona
Którą natchnie Bóg i bitwa!
Czysta, święta jak modlitwa
Przed skonaniem odmówiona;
A potężna jak lud kmiecy,
Co ją dźwignie swemi plecy!

B.

Emigracya z wschodnich prowincyj Monarchii pruskiej.

Położone na wschodniej granicy obszary prowincyi państwa pruskiego, lubo każda z nich przechodziła odmienne koleje historyczne, to wspólne mają między sobą, że ludność ich jest mięszaną pod względem językowym. W Prusiech wschodnich żyją nawet dotychczas cztery narodowości. Obok przeważnej większości niemieckiej, mieszka garstka Łotyszów na wąskim piaszczystym klinie ziemi wrzynającym się w Bałtyk pod nazwą Kurońskiej Nierzeji (Kurische Nehrung); po obu brzekach Niemna mieszkają Litwini wyznania ewangielickiego, tu i owdzie zresztą przegrodzeni niemieckiemi koloniami; na południu od okolic Gołdapii, gdzie w parafii Szitkemen na pograniczu gubernii Suwalskiej w trzech kolejno językach odbywa się, a przynajmniej do niedawna odbywała się odprawa luterańska, długim pasem prawie równolegle do granicy biegnącym, aż na północ od Osteridy zamieszkują Polacy, potomkowie osadników z czasów energicznej kolonizacyi krzyżackiej. Są to przeważnie Mazury ewangielicy, w mniejszej ilości katolicy Warmińscy w granicach dawnych posiadłości książąt biskupów warmińskich. W r. 1861 podług rządowej statystyki obok 1,215.929 Niemców liczono w Prusiech wschodnich 137.404 Litwinów i Łotyszów oraz 311.047 Polaków *); w rzeczywistości jednak dwie ostatnie cyfry były niezawodnie wyższe.

W Prusiech Zachodnich etnograficzna granica jest mocno poszarpana, biegnie w krzywych i łamanych liniach, tworzy językowe wyspy i enklawy. Zupełnie niemieckimi są południowo-zachodnie strony na granicy Pomeranii i Nowej Marchji oraz żyzne Nadwiślańskie Żuławy na północy,

*) Böckh. Der Deutschen Volkszahl und Sprachgebiet Berlin 1870. str. 235.

mieszaną jest Ziemia Chełmińska, mniej już Michałowska a najczyściej utrzymał się żywioł słowiański na zachodniej stronie Wisły, w malowniczym kraju pagórków i wodnych jezior kaszubskich. Na ogólną ludność 1,408.229 w r 1885 przypadało Polaków 535813, czyli przeszło trzecia część ogólnego zaludnienia prowincyi *). Również niewyraźną jest etnograficzna granica w Poznańskiem; niemieckiem jest zachodnie pogranicze od strony Szląska i Brandenburgii, polskiemi są powiaty południowe i wschodnie: na północy, w krajn położonym nad brzegami Noteci i jej dopływów stosunki etnograficzne są mocno pomięszane i zawikłane W r. 1861 obok 666083 Niemców liczono 801.521 polskiej ludności, a więc liczebna przewaga była i jest dotąd zawsze po strouie tubylczej ludności **)

Na Szląsku stosunek ludności słowiańskiej do ogółu mieszkańców całej prowincyi przedstawia się o wiele niekorzystniej, ale zato pod względem bezwzględnej ilości oraz zawartości etnograficznego obszaru rdzennie miejscowa ludność na Szląsku jest w położeniu korzystniejszem niż w innych krajach monarchii pruskiej Pominąwszy garstkę Czechów zamieszkujących kilka wsi na górnym Szląsku, małą śródniemiecką enklawę koło Strzeliny (Strehlen) i na austryackiem pograniczu w hrabstwie Kłodzkiem (Glatz), nieznaczną ilośćMorawian na granicy Szląska austryackiego i również nieznaczną ilość Serbów łużyckich w północno zachodnim cyplu obwodu Lignickiego, słowiańską ludność prowincyi szląskiej tworzą Polacy zamieszkali w zwartej terytoryalnej masie, w której tylko miasta stanowią niemieckie lub na pół zniemczone enklawy. Miedza etnograficzna ciągnie się z południowego zachodu na północowschód, w linii prawie regularnie biegnącej od pogranicza powiatów Głubszyckiego i Raciborskiego, przekraczającej Odrę w okolicy Szurgastu między Opolem a brzegiem a kończący się na granicy poznańskiej, tam gdzie schodzą się z sobą powiaty Milicki i Sycowski. W r. 1875 na ogólną ludność 3,854.960 było niezawodnie około 1200.000 Słowian na Szląsku ***).

Obok etnograficznej rozmaitości zaludnienia wschodnie prowincye Prus mają pod względem ludnościowym inną jeszcze wspólną cechę charakterystyczną, która odróżnia je wybitnie od krajów pruskich mających wyłącznie niemiecką ludność. Cechą tą jest wielka ilość małżeństw i wielka ilość urodzeń. W perjodzie 1824—85 r. na 10.000 mieszkańców przeciętna roczna cyfra urodzeń wypadała: w obwodzie Kwidzyńskim 470, Bydgoskim 467, Gdańskim 439, Poznańskim 433, Gombińskim 427, Królewieckim 424. Tymczasem w innych obwodach z wyłącznie niemiecką ludnością taż sama przeciętna roczna liczba nie dochodziła cyfry 400, która nieznacznie tylko przekraczała w kilku obwodach, Koszaleńskim, Szczecińskim, Merseburskim, Arnsberg i Wrocławskim, lecz w tym ostatnim ludność nie jest także wyłącznie niemiecką, gdyż Polacy zamieszkują jeszcze w powiatach Namysłowskim, Sycowskim i częściowo w powiecie Brzeskim ****).

Że właśnie wśród polskiego żywiołu jest większa skłonność do zawierania związków matrymonialnych i więcej dzieci na świat przybywa, to uwydatnia się przedewszystkiem na Szląsku przez porównanie przeważnie polskiego obwodu Opolskiego, z niemieckim, z wyjątkiem garstki Serbów łużyckich, obwodem lignickim. W pierwszym na 10.000 mieszkańców przeciętna roczna cyfra urodzeń była 459 w drugim tylko 307. Jeszcze silniej uwydatnia się przyczynowy związek zachodzący pomiędzy etnograficznemi stosunkami a ruchem ludności, jeżeli zestawimy obok siebie pojedyncze powiaty na Szląsku. Przeważnie polskie Kluczborski, Oleski, Lubliniecki, Wielko-Strzelecki i Opolski w perjodzie 1824—73 r. wykazują na 10.000 mieszkańców przeciętną roczną cyfrę małżeństw 93 i urodzeń 462 również polskie powiaty Kozielski, Raciborski, Rybnicki, Pszczyński, i Tosko Gliwicki wykazują nawet 99 małżeństw i 481 urodzeń, gdy tymczasem w zupełnie lub przeważnie niemieckich powiatach Grotkowskim, Nyskim, Prudnickim, Niemodlińskim i Głubczyckim przeciętna cyfra małżeństw dochodziła tylko 85, urodzeń 420 *).

Podobnież rzecz się ma w Prusach wschodnich. Wiejska ludność polskich powiatów Oleckowskiego, Łeckiego, Sąsborskiego, Jańsborskiego, Szczycińskiego, Niborskiego, Ostrodzkiego i Olsztyńskiego na 10.000 mieszkańców wykazuje 472 urodzeń, gdy tymczasem w powiatach niemieckiej Warmii, Braunsbergskim, Heilsbergskim i Reszelskim cyfra ta spada nu 427. W zachodnich Prusiech, w obwodzi Kwidzyńskim, niezwykle wysokie cyfry urodzeń okazują powiaty dawnej ziemi Michałowskiej, Lubawski i Brodnicki, położone na wschodnim krańcu prowincyi, pierwszy 510, drugi 514. Cyfra ta obniża się coraz więcej im bliżej na zachód ku granicom Monarchii i Pomeranii, im gęściej ludności niemieckiej **).

W Poznańskiem powyższe prawidło ruchu ludności okazuje się i uwydatnia przez porównanie liczby małżeństw i urodzeń wśród katolików i ewangielików. Z małym wyjątkiem polskich luteranów zamieszkałych w okolicy Ostrowa i Kępna, pojęcia Ewangielika i Niemca w prowincyi tej zupełnie pokrywają, Niemców katolików jest znacznie więcej niż Polaków ewangielików, mianowicie w powiatach Wschowskim i Międzyrzeckim, gdzie na pograniczu Szląska i Marchii, jeszcze za Rzeczypospolitej znaczny pas ziemi był już niemieckim; w każdym razie procent niemieckich katolików w stosunku do ogółu katolickich mieszkańców prowincyi jest bardzo nieznacznym, tak, że pojęcia Polaka i katolika w Poznańskiem statystycznie mogą być uważane za jednoznaczne. Otóż w perjodzie 1824—73 r. na 10.000 ludności zawierano rocznie w obwodzie Poznańskim małżeństw: u katolików 96, u ewangielików 90; w obwodzie Bydgoskim u pierwszych 103, u drugich 99. W latach 1819—73 na 100 małżeństw w obwodzie Poznańskim bywało urodzeń: u katolików 442, u ewangielików 416, w Bydgoskim 457 i 420 ***).

Jeżeli wschodnie prowincye Prus wykazywały wyższą cyfrę małżeństw i urodzeń niż w prowincyach środkowych i zachodnich, to z drugiej strony także płaciły one jednocześnie większy haracz śmierci. W perjodzie 1824—85 r. na 10.000 mieszkańców przeciętna roczna cyfra wypadków śmierci w całej monarchii pruskiej wynosiła 292, zachodnie i środkowe prowincye z wyjątkiem Berlina, cyfry tej

*) Podług obliczeń Nadmorskiego w Pamiętniku Fizyograficznym tom IX.

**) Böckh. Der Deutschen Volkszahl u. Sprachgebiet, str. 237.

***) Porównaj: Weinhold, Die Verbreitnng und die Herkunft der Deutschen in Schlesien. Stutgart 1887.

****) Markow. Das Wachsthum der Bevölkerung und die Entwickelung der Aus- und Einwanderungen in Preussen. Tübingen, 1889, str. 59.

*) v. Bergmann. Zur Geschichte der Entwickelung Deutscher, Polnischer und Jüdischer Bevölkerung in der Provinz Posen. Tübingen 1883, str. 66, 101.

**) Markow. loco cit. str. 58.

***) v. Bergmann loco cit. str. 65, 72.

nie dochodziły, należąc do dzielnicy małej i śred. śmiertelności. Wielka śmiertelność panowała w wszystkich obwodach wschod. z ludnością mięszaną, gdzie przeciętna roczna cyfra wypadków śmierci wynosiła 323. Najgorzej przedstawiały się pod tym względem stosunki w Zachodnich Prusiech (335), najlepiej na Szląsku (315), gdzie znowu obwód Lignicki z ludnością prawie zupełnie niemiecką, był w najkorzystniejszem położeniu; pośrednie miejce zajmują: Poznańskie (328) i Prusy Wschodnie (326). Że wśród polskiej ludności śmierć wyrywa prędzej ofiary niż wśród ludności niemieckiej, dowodzi zestawienie pojedynczych powiatów w Zachodnich Prusiech. W przeważnie polskich powiatach ziemi Michałowskiej, Lubawskim i Brodnickim śmiertelność roczna dochodziła 392, a więc o całą setkę wyżej niż przeciętna cyfra monarchii; obniżała się nieco na 378 w mięszanych powiatach Toruńskim i Chełmińskim jeszcze niżej spadała do 346 w przeważnie niemieckich: Kwidzyńskim, Sztumskim i Suskim, wreszcie najkorzystniej z cyfrą 276 przedstawiała się w powiatach Złotowskim Człochawskim i Wałeckim, z których pierwszy i drugi przeważnie, trzeci zaś zupełnie jest niemieckim *).

Wielka śmiertelność wśród ludności polskiej bezpośrednio pochodzi pzzedewszystkiem z wielkiej śmiertelności dzieci przed ukończeniem pięciu lat życia. W perjodzie 1819—63 r. w Poznańskiem, z urodzonych w tymże czasie dzieci umarło przed dojściem wspomnianego przed chwiią wieku, u katolików 37,79, u ewangielików 37,01, u żydów tylko 28,69. Na górnym Szląsku w przybliżeniu w tym samym okresie czasu (1819, 1870 r.) w polskich powiatach Lublinieckim, Oleskim, Kluczborskim, Strzeleckim i Opolskim śmiertelność dzieci wynosiła (36,57), nieco więcej w Kozielskim, Raciborskim i Tosko-Gliwickim (37,74), w górniczych powiatach: Bytomskim Katowickim, Górskim i Zabrzeskim dochodziła nawet do cyfry 43,23, gdy tymczasem w zupełnie lub przeważnie niemieckich powiatach: Nyskim, Grotkowskim, Niemadlińskim, Prudnickim i Głubczyckim spadała na 35,67. Podobnież w mazurskich powiatach Prus Wschodnich śmiertelność dzieci dochodziła wysokiej cyfry 41.18 gdy tymczasem w Niemieckiej Warmii zniżała się na 34,05, zaś w Sambji i Natangji nawet na 33.54 Im dalej na zachód Niemiec, tym łagodniejszą jest śmiertelność dzieci, najkorzystniej przedstawiają się pod tym względem Westfalia i obwody Trewirski i Düsseldorff Prowincyi Nadreńskiej. U żydów śmiertelność dzieci jest wszędzie mniejszą niż u Chrześcian *)

Z pomiędzy wschodnich prowincyi, obwód rządowy Gdański znajduje się w wyjątkowem położeniu; tu bowiem wręcz przeciwnie jak w innych obwodach z mięszaną ludnością, w niemieckiej grupie powiatów (Gdańsk, Malborg, Elbląg) śmiertelność dzieci jest o wiele wyższą niż w grupie polskiej (Wejherów, Kartuzy Kościerzyna, Stargard)- W pierwszej przeciętna cyfra była 37,88, w drugiej spadała na 33.50 **) Wyłączywszy z polskiej grupy powiat Stargardzki, jako sam przez się dający niekorzystne rezultaty, szczęśliwa przewaga okazuje się po stronie Kaszubów zamieszkujących ubogie, ale zdrowe klimatycznie piasczyste wzgórza, gdy tymczasem Niemcy zaludniają przesiąkłe wilgocią nadwiślańskie Żuławy.

Skutkiem wielkiej śmiertelności w prowincyach wschodnich, osłabia się przewaga urodzeń nad wypadkami śmierci, a tym samym naturalny przyrost ludności, wynikający właśnie z przewyżki ilości urodzeń nad ilością wypadków śmiertelnych, jest w nim stosukowo niższym. W całej monarchii pruskiej w perjodzie 1824—1885 r. przeciętny roczny naturalny przyrost wynosił 113 na 1.000 mieszkańców, wyższą cyfrę wykazują równie obwody środkowe i zachodnie. Arnsberg Trewir, Merseburg, Frankfurt. Erfurt, Potsdam i Düsseldorf, wschodnie obwody Opolski, Bydgoski, Kwidzyński *) wreszcie Wschodnie Prusy, oraz obwody Gdański i Poznański stoją poniżej przeciętnej cyfry całego państwa. Natomiast, jeżeli cały powyższy perjod czasu rozłożymy na pojedyncze okresy, to w ostatnich latach okazuje się w Poznańskiem i Zachodnich Prusiech znaczne polepszenie stosunków i wzrost przewyżki urodzonych nad ilością zmarłych, tak dalece, że w okresie 1867—1885 r. prowincye te zajmują pod względem przyrostu naturalnego pierwsze miejsce w monarchii (Poznańskie 157, Zachodnie Prusy 145 **). Daleko gorzej przedstawia się faktyczny, rzeczywisty przyrost ludności, co już stanowczo dowodzi, że pewna część ludności musiała z rodzinnych swych stron wywędrować. Porównując rok 1824 z rokiem 1885, w czterech wschodnich prowincyach, z przewyżki urodzonych nad ilością zmarłych wypływał naturalny przyrost 4,704 816, tymczasem rzeczywistego przybytku było 4,105.254; wypadająca ztąd różnica 599.562 przedstawia masę ludności która nie przez śmierć, lecz w drodze emigracyi z prowincyi tych ubyła. Tymczasem w środkowych i zachodnich prowincyach rzeczywisty przyrost nietylko nie był niższym od naturalnego, ale owszem przewyższał go, mianowicie w środkowych o 11.887, w zachodnich nawet o 38785. Przyjrzawszy się wschodnim prowincyom w pojedynczych okresach, widzimy jeszcze w latach 1824—48 przewyżkę imigracyi nad emigracyą, w okresie 1849—66 jest już przewaga emigracyi wynosząca 85,766 wreszcie po wojnie austryackiej w okresie 1867—85 różnica ta dochodzi bezmała miliona (952.377 *). W Poznańskiem i na Szląsku przewaga wychodźctwa zaczyna się już od r. 1849, w Prusiech Wschodnich i Zachodnich dopiero od 1867 r.

Wśród Niemców, popęd do emigracyi i szukania chleba poza rodzinnym zagonem jest bardzo starym zjawiskiem historycznem. Już w ciągu wieków średnich rolnicy i mieszczanie ciągnęli do sasiednich krajów słowiańskich nad Elbę i Odrę. rozszerzając niemiecki język i obyczaj, szybko asymilują tubylczą ludność. Na ziemiach Obotrytów, Lutyków i Serbów połabskich pozostały się tylko cmentarzyska słowiańskie, pozakładane marchje zostały ogniskiem nowego, wyłącznie niemieckiego życia Dolny Szląsk i Pomerania, bez krwi rozlewu bez skruszenia jednej kopji, w drodze spokojnej rolniczej i przemysłowej kolonizacyi zdobyte zostały przez szczep germański. W Czechach niemieccy osadnicy zaludnili pasma gór piętrzących się na pograniczu kraju. w Węgrzech skolonizowali rozległe obszary na zachodniej granicy i dalej jeszcze w Siedmiogrodzie u podnóża gór karpackich. Przez cały ciąg wieków średnich i nowożytnych słowiańskie kraje były ziemią obiecaną, do której spływały potoki niemieckiej emigracyi. Dużo tych strumieni wyschło, zniknęło na obcym gruncie, ale niejeden załał do szczętu i na zawsze ten kęs ziemi słowiańskiej na który spłynął.

Poza Ocean do Ameryki niemieckie wędrówki zaczęły się na początku XVIII. stulecia. W r. 1707 spustoszenie

*) Markow, loco cit. str. 87 i nast.
**) v. Bergmann, loco cit. str. 158 i nast.
**) Tamże str. 160, 161.

*) Markow, loco cit. str. 87, 97.
**) Tamże str. 110.
***) Markow, loco cit. str. 135, 136, 165.

Palatynatu przez Francuzów dało pierwszy popęd do emigracyi amerykańskiej, zubożeni przez wojnę mieszkańcy, w znacznej liczbie wyciągnąwszy za morze, osiedlili zię nad brzegami rzeki Hudson, w dzisiejszym stanie New Jork. Po raz pierwszy wtedy otwarty upust emigracyi już się odtąd nigdy nie zamknął; przez raz podniesione szluzy, potoki wychodźctwa spływały w bystrych kaskadach to znowu sączyły się powolnym biegiem ale zatamować się już nie dały. Uciążliwe niewygody podróży, choroby, cały trud pierwszych chwil osadnictwa nie były w stanie odstraszyć nowych wędrowców którzy z Palatynatu, Badenu i Szwabii ciągnęli szukać szczęścia i dobrobytu w rozległych puszczach nowego świata. Nawet obawa śmierci nie zrażała kolonistów. Dość powiedzieć, że w roku 1711 z jednej partji liczącej 3000 niemieckich emigrantów wyprawionej z brzegów Anglii do New Jorku blisko czwarta część, bo aż 700 ludzi wymarło na febrę okrętową; mimo to w ciągu XVIII stulecia 100.000 Niemców przeprawiło się na drugą półkulę.

Jeszcze w XIX. stuleciu, główny kontygens Emigracyi z Prus dostarczały ciągle zachodnie prowincye. W perjodzie 1844—59 r. najwyższy procent wychodźców w stosunku do ogólnej ilości zaludnienia dawały nadreńskie obwody Trewir i Koblenz; w prowincyach wschodnich emigracya była wtedy zupełnie nieznaczącą, dopiero od r. 1860 ruch emigracyjny przesuwa się powoli ale bardzo wyraźnie z zachodu na wschód, tracąc na sile w prowincyach zachodnich, coraz większe rozmiary przybierając w wschodnich.

Jeszcze około r. 1865 landraci w urzędowych opisach powiatu Gnieznieńskiego, Wyrzyskiego, Inowrocławskiego, położonych w obwodzie Bydgoskim nie zauważyli emigracyi do Ameryki wśród rdzennie miejscowej ludności; jedynie Żydzi ciągnęli za morze w pogoni za dolarem *). Tymczasem w krótce potem, po r. 1872 obwody Bydgoski i Kwidzyński, pod względem wychodźctwa zdobyły smutny stopień pierwszeństwa w całej monarchii; tuż niedaleko od nich zajął miejsce obwód Gdański; nawet Gombiński, który aż do r. 1871 żadnego prawie udziału w emigracyi nie przyjmował, odtąd zaczął dawać w perjodzie 1872—7 r. po 164 emigrantów rocznie na każde 100.000 mieszkańców. W tymże samym perjodzie czasu wywędrowało wogóle z obojga Prus, przeważnie Zachodnich 44 681 ludzi, z Poznańskiego 21.525, z Szląska 12.146 **). Szląsk zatem tak absolutnie jakoteż relatywnie do miejscowego zaludnienia, dostarczył najmniej emigrantów.

Z biegiem czasu cyfry te jeszcze więcej się podniosły; w r. 1889 wyłącznie tylko za ocean wyniosło się z Poznańskiego 10.310, z zachodnich Prus 10.038. Są to najwyższe cyfry z wszystkich prowincyi państwa pruskiego; tuż po nich trzecie miejsce zajęła Pomerania z cyfrą 8016. Prusy Wschodnie wysłały niewielką stosunkowo liczbę emigrantów 2.031 a jeszcze mniej Szlązk 1.905, przy zaludnieniu relatywnie i absolutnie najsilniejszem w całej grupie wschodnich prowincyi ***).

Głównym celem do którego zdążali poznańscy i zachodnio pruscy emigranci były i są ciągle jeszcze Stany Zjednoczone północnej Ameryki. Do Brazylii ruch wychodźczy był bardzo nieznaczny. Wogóle z całych Niemiec w perjodzie 1871—89 r. wyniosło się tamże około 40.000 ludzi, którzy w południowych prowincyach Santa Catharina i Rio Grane do Sut pozakładali rolnicze osady. W ruchu tym do Brazylii przyjęli także lubo nieliczny udział polscy emigranci z Prus Zach. założywszy osady swe w Curitybie w sąsiedztwie galicyjskich emigrantów. Również nieznacznym jest ruch emigracyjny do innych krajów europejskich W perjodzie 1872—77 z pomiędzy tych, którzy po odmeldowaniu się policyjnem, z należytemi dowodami kraj opuszczali, do Królestwa polskiego i wogóle do krajów pod panowaniem rosyjskiem wyszła z obojga Prus tylko $1/_8$ emigrantów, z Poznańskiego nawet $1/_{10}$ część; z Szląska $1/_3$ wychodźców kierowała się do Austryi. Że zaś liczba wychodzących bez dopełnienia formalności uwalniających od poddaństwa była i jest nierównie wyższą, i ci prawie wszyscy kierowali się do Ameryki, jako do kraju w którym siła zarobkowa jest najważniejszym dokumentem legitymacyjnym, przeto wogóle w całej emigracyi zewnętrznej z Prus, istotnie poważne społeczne zjawisko przedstawia tylko wychodźctwo do Ameryki północnej. (D. c. n.)

*) v. Bergmann, loco cit. str. 315.

**) Bodiker. Die Preussische Auswanderung und Einwanderung seit dem Jahre 1844. Düsseldorf 1879, str. 6.

***) Statistisches Jahrbuch für das Deutsche Reich. — 11. Jahrg. 1890, str. 15.

Odkrycie czwartej dzielnicy.

(Ciąg dalszy).

Przyjęcie w Milwaukee Wis.

Dnia 14. września r b. profesor Dr. Emil Habdank Dunikowski przybył do naszego grodu o godz. 2. po południu. Na dworcu kolei St. Paul powitali go członkowie komitetu obywatelskiego pp. K. Neuman, M. Kruszka i J. Słupecki. Komitet poprosił gościa do mieszkania państwa Ign. Czerwińskich, którzy ze staropolską gościnnością prosili Dra Dunikowskiego o zamieszkanie w ich domu przez czas pobytu w Milwaukee. Wkrótce dom państwa Czerwińskich napełnił się gośćmi: ks. Gulski na czele księży Milwauckich, ks. Szukalski z Beaver Dam, ks. Czarowski z Berlina *) i liczni obywatele różnych obozów i przekonań. Między zebranymi wywiązała zię interesująca dyskusya. — Pan Dunikowski rozpytywał się szczegółowo o nasze tutejsze stosunki, opowiadał o dotychczasowych wrażeniach, zaznajamiał się ze szczegółami swej misyi, „był uczniem i nauczycielem.“

Dnia następnego wziął udział w pogrzebie ś. p. Piotra F. Rewolińskiego; po powrocie z cmentarza odwiedził ks. Gulskiego, gdzie zgromadziło się także wiele osób. Na wzniesiony toast przez ks. Gulskiego Dr. Dunikowski w dłuższem przemówieniu wypowiedział: że nie przypuszczał żeby miasto Miiwaukee zasługiwało prawdziwie na tak dobrą opinię, jaką cieszy się między całą amerykańską Polonią. Przywiązanie Polaków milwauckich do wiary katolickiej, trzymanie się wiernie sztandaru narodowego, poszanowanie ojczystej mowy i obyczajów, solidarność, łącząca nas we wszystkich ważnych dla ogółu sprawach, ścieranie się zdań w kwestyach mniejszej wagi, ów szacunek. jaki okazują nam nietylko inne kolonie polskie i współobywatele nasi milwauccy innych narodowości, wszystko to dowodzi, że Polacy tam pojmują właściwie nasze obywatelskie obowiązki. Zastrzegając się, że jest dalekim od pochlebstwa nazwał pan Dunikowski miasto Milwaukee „perłą“ kolonii polsko-amerykańskich i przyznał, iż to, czem jesteśmy, winniśmy zawdzięczać głównie swym księżom, ich taktowi, wyrozumiałości i szczerym chęciom służenia tej sprawie, której służą nasi rodacy w Europie.“

Po obiedzie u księdza Gulskiego obwiozło kilku człon-

*) Berlin w Kanadzie.

ków komitetu obywatelskiego szanownego gościa po głównych ulicach miasta. Prof. Dunikowski oglądał z zajęciem różne gmachy publiczne, rezydencye tutejszych wybitnych innorodowców, rozpytywał się przytem szczegółowo o rozwój handlu i przemysłu między tutejszą Polonią, przyczem zwracał uwagę na konieczność starania się o to, ażeby brali się do rzemiosł i zakładania spółek handlowych i przemysłowych, pomnażających bogactwo jednostek a tem samem bogactwo nasze narodowe. Udano się następnie na „Kępę", główne siedlisko tęgich naszych Kaszubów, współubiegających się z rodakami „z południa" w pracy dla dobra powszechnego. Po obejrzaniu kościoła św. Jadwigi poszedł szanowny delegat na plebanią, gdzie wiel. ksiądz Tarasiewicz przyjął gościa i jego towarzyszy serdecznie. W licznem gronie Polaków z krwi i kości nie wiedzieliśmy przez kilka godzin, że znajdujemy się ua obczyźnie, na niepolskiej ziemi i pod niepolskiem niebem. Zdawało się każdemu, że jesteśmy w starym kraju, w otoczeniu tamtejszych duszpasterzy, tamtejszej szlachty, tamtejszych wieśniaków połączonych jednym węzłem braterskiej miłości i przywiązania do wszystkiego tego, co zmusza serca polskie do szybszego bicia.

Dnia 16. b. m. o godzinie 7. wieczorem gwardya Kościuszki w połączeniu z całem polskiem rycerstwem stanęła przed mieszkaniem delegata, oddała mu wojskowe honory, poczem udano się w pochodzie do przepełnionej hali. Po wprowadzeniu na estradę, p. Kazimierz Neuman wyłuszczył powody, dla których Dr. Dunikowski przybył do nas i przedstawił go publicznie.

Dr. Dunikowski zabrał głos i w wymownych słowach wypowiedział znany już z poprzednich przemawiań cel swego przybycla.

Przewodniczący zebrania p Kazimierz Neuman zwrócił uwagę Dra Dunikowskiego na tę okoliczność, że zebrani na hali nie należą do jednego tylko z naszych obozów, lecz składają się z przedstawicieli różnych zdań. przekonań, zasad, frakcyi i partyi. Wszyscy bez wyjątku stanęli jak jeden mąż przed posłem z Ojczyzny, ażeby mu pokazać, że wszyscy również gorąco kochamy Polskę, że wszyscy dziękujemy za prace w interesie naszym podjęte. Mowy mowców przeplatała dzielna nasza „Harmonia" patrotycznemi śpiewami.

Następnych dni zwiedzał Dr. Dunikowski dzielnicę polską i fabryki, w których polacy pracują, a dnia 19. rano udał się w towarzystwie milwauckich księży do wikaryuszu generalnego, monsignora Zeiningera, i został przez niego przedstawiony Najprzewielebniejszemu naszemu Arcybiskupowi.

Dr. Dunikowski podziękował Arcybiskupowi w imieniu całej Polski za opiekę, jaką najwyższy władca duchowny naszego stanu otacza polskie kościoły i polskie szkoły. Najprzewielebniejszy Arcypasterz upoważnił profesora Dunikowskiego do oświadczenia tym, którzy go jako delegata do Ameryki wysłali, że Polacy tutejsi słyną w Ameryce z pobożności i niezwykłej ofiarności na rzecz własnych szkół i kościołów i że nie ma powodu do obawy, ażeby utracić mieli swą odrębność narodową, dopóki stać będą wiernie przy Kościele, do którego należeli ich przodkowie.

Następnie zwiedzał szanowny delegat miasko Milwaukee, i składał wizyty różnym wybitnym obywatelom naszego grodu.

Wieczorem o godzinie 8. przedstawiciele naszej inteligencyi: księża, dziennikarze, urzędnicy, kupcy przemysłowcy i artyści zgromadzili się w hotelu Pabsta, ażeby pożegnać gościa z Europy wspólną biesiadą. Trzydzieści przeszło osób zasiadło przy jednym, wielkim stole, otaczając jednem wielkiem kołem rodaka z kraju, który zjednał sobie w ciągu tygodnia serca wszystkich polaków milwauckich.

Przewodniczący Komitetu obywatelskiego wzniósł pierwszy puchar na cześć dostojnego posła i rozpoczął szereg mów, płynących z serca do serca. Każdy czuł potrzebę objawienia swych uczuć wobec gościa, który swem uprzejmem obejściem, zdrowemi radami i projektami na przyszłość zagrzał nas wszystkich do szczerej, rzetelnej, systematycznej pracy dla dobra ogółu, bez względu na to, do jakiego kto zalicza się obozu. Krzyżowały się myśli i zdania, nie psując w niczem ogólnej harmonii. Nie zapomniano o nikim i o niczem.

Dostojny delegat wypowiedział dłuższą mowę, w której barwnemi słowy wymieniał nam nasze obowiązki publicznego i prywatnego postępowania, jeżeli chcemy na seryo być użytecznymi dla naszego społeczeństwa tutaj w Ameryce i tam — w kraju rodzinnym.

Wzniesiono toast na cześć naszego duchowieństwa, Dr. Dunikowski zwrócił uwagę obecnych na prawdziwie obywatelską działalność wydawcy i redaktorów „Kuryera Polskiego", profesor Kuk mówił o potrzebie podniesienia oświaty ludu i wytworzenia pośród nas licznego zastępu inteligencyi, któraby posiadała „rozum Kopernika, moc pojmowania Śniadeckich, rzewność Zaleskiego, rodzinny kierunek Brodzińskiego, wiarę Karpińskiego, nadzieję Krasińskiego i miłość Mickiewicza".

Ksiądz Górski zwracał uwagę na konieczuość spotęgowania się naszego handlu i przemyslu, i pił zdrowie obecnych na bankiecie kupców i rzemieślników. P. Owocki przemawiał w imieniu młodzieży naszej. P. Piotr Pawiński zachęcał do zgody w polityce.

Po rozpoczęciu się bankietu wszedł na salę monsignor Zeininger, generalny wikaryusz naszego Arcybiskupa, i zasiadł na zarezerwowanem dla siebie miejscu, obok Delegata.

Przewodniczący Komitetu obywatelskiego, po różnych mowach i toastach zwrócił uwagę obecnych na tę okoliczność, że jeżeli nasi kapłani rozwijają skuteczną działalność w kierunku utrzymania w naszym ludzie odrębności naszej narodowej, mają to do zawdzięczenia przedewszystkiem swej władzy duchownej, która w stanie Wisconsin nietylko pracy księży polskich nie przeszkadza, jak się dzieje gdzieindziej, lecz przeciwnie pracę tę wspiera.

Reprezentantem tej naszej, przychylnej nam władzy duchownej jest obecny na bankiecie monsignor Zeininger. Mowca wzniósł puchar na cześć przewielebnego wikaryusza i wywołał swem przemówieniem niesłychany zapał.

Toast ten nie został bez odpowiedzi. Monsignor Zeininger porównał Polonię milwaucką z przed lat kilkunastu z Polonią dzisiejszą. W czasie, gdy Polacy mieli tylko jeden mały swój kościół na rogu ulic Grove i Mineral, nie odgrywali tutaj żadnej roli. Dzisiaj posiadają pięć własnych wielkich kościołów, za lat kilka będą mieli dwa razy więcej polskich świątyń i zakładów naukowych. W miarę wzrostu liczby kościołów wzrasta wpływ i znaczenie Polaków. Zaczynają w Milwaukee i stanie Wisconsin stanowić potęgę a niedługo nadejdzie czas, gdzie Polacy decydować będą mogli nietylko o losach pojedyńczych stanów, lecz zaważą na szali przyszłych dziejów Ameryki północnej. Przewielebny mowca polecił dostojnemu delegatowi oświadczyć sejmowi galicyjskiemu, że Polska może być dumną ze

swych dzieci, żyjących na ziemi amerykańskiej, a szczególnie z Polaków milwauckich.

Ducha, jaki ożywiał wszystkich uczestników bankietu przy końcu posiedzenia, opisać trudno. Dość powiedzieć, że rozczulony do łez naszą gościnnością delegat, odroczył swój wyjazd na kilka godzin, aby dzisiaj fotografować się w otoczeniu rodaków, którzy w Milwaukee otworzyli przed nim swe domy i serca i przekonali go tysiącznemi dowodami, że w Grodzie Śmietankowym — jeszcze Polska nie zginęła.

St. Louis.

Dnia 21. września udał się Dr. Dunikowski. na usilne zaproszenie kolonii polskiej w St. Louis, do tegoż miasta, w towarzystwie p. skarbnika Kiołbassy. W podróży tej wyszedł delegat nasz prawdziwym cudem z wielkiego niebezpleczeństwa — gdyż koło stacyi Peoria pękła oś u maszyny, — pociąg się wykoleił a tender i pierwszy wagon rozsypały się w kawałki. Na szczęście cały pociąg ugrzązł w moczarzysku, tak, że bardzo mało było uskodzeń. Nowy pociąg, który wysłano z najbliższej większej stacyi przybył do St. Louis po północy z 8 godzinnem opóźnieniem.

Mimo tak późnej pory oczekiwało na dworcu szan. Delegata kilkunastu obywateli pod przewodnictwem pana Rychlickiego, którzy odprowadzili dra Dtnikowskiego do parafii św. Stanisława. Delegat bowiem obiecał już przedtem ks. Stanowskiemu, że u niego przyjmie gościnę; przeto podziękował serdecznie komitetowi, który przygotował przepyszne apartamenta w pierwszorzędnym hotelu.

Nazajutrz zwiedzał delegat oba Kościoły polskie, mieszkania rodaków, fabryki w których Polacy pracują, a wieczorem przybył na meeting, urządzony przez Towarzystwa kościelne, gdzie wyłuszczył cel swego przybycia. Liczni mówcy zebierali głos i dawali wyraz swym uczuciom patryotycznym zapewniając o swej gorącej miłości ojczyzny. Śpiewano potem narodowe pieśni i dopiero w późną noc rozeszli się wszyscy do domów żegnając delegata ze łzami w oczach.

Koroną atoli przyjęć w St. Louis było zgromadzenie urządzone przez Związkowców dnia 23. września. W pysznie udekorowanej sali na 13 ulicy zebrały się wszystkie Towarzystwa należące do związku w pełnej gali ze sztandarami i odznakami. Trudno opisać ten zapał. które wywołały słowa delegata nawołującego zebranych do zachowania wiary i mowy ojczystej — i do połączenia się duchowego z krajem. Mowcy którzy z kolei zabrali głos mianowicie obywatele Rychlicki, Tomaszewski, Jaknbowski, Opawski i wielu innych w podniosłych i wymownych słowach prosili delegata, ażeby przedstawił naszym braciom w kraju, jak szczerą i gorącą miłością ojczyzny bijące serca znalazł tu w głębi Ameryki nad Mississipi.

Trzykrotnym okrzykiem na cześć gościa zakończono posiedzenie, a kiedy później przy wspólnej biesiadzie wśród uroczystego ustroju i poważnych rozmów zaśpiewano na pożegnanie Boże coś Polskę, natencza polały się obfite łzy, łzy bolu i nadziei, gdyż jak słusznie wyraził się jeden z uczestników, bytność szan. delegata zwiastuje dla życia umysłowego i narodowego Polonii w Ameryce nową dobę.

Jak wielki był entuzjazm dla sprawy narodowej, dowodzi ta okoliczność, że obecni postanowili święcić odtąd uroczyście dzień przybycia szan. delegata do St. Louis.

To też z żalem odprowadzono nazajutrz Dra Dunikowskiego na kolej, żegnając go serdecznem do widzenia się.

Pożegnanie w Chicago.

Profesor Dr. Emil Habdank Dunikowski zawiadomił, że dnia 27. września o godz. 10 rano złoży wizytę pożegnalną Rządowi Centralnemu Związku Narod. Polsk. Na wiadomość tę zgzomadzili się w pełnym komplecie Członkowie Rządu Centralnego i dyrektorzy biblioteki i muzeum narodowego. Po wajemnych powitaniach Prezydent Rządu Centr. Zw. N. P. obyw. S. F. Adalia Satalecki, otworzył posiedzenie, a przy odpowiedniem przemówieniu wręczył Dr. Dunikowskiemu dyplom i odznak złoty na honorowego członka Związku Nar. Pols. udzielony za podjęte prace dla dobra emigracyi polskiej.

Dr. Dunikowski wyraził się, że zaszczyt ten jest mu bardzo miłym i że pracować będzie w celach Związku Nar. Pol. ile tylko możność pozwoli. — Następnie poproszony został Dr. Dunikowski do Biblioteki i Muzeum Nar. Pol.; po dokładnem zwiedzeniu, w sali czytelni wzniesieno toast na cześć honorowego członka. Kilka godzin spędzonych razem dały sposobność bliższego poznania i porozumienia się w pracach dla dobra emigracyi polskiej.

Dnia następnego wieczorem Dr. Dunikowski przybył na posiedzenie Rządu Centralnego na którem prezydent S. F. Adalia Satalecki, prosił gościa o przewodniczenie.

Dnia 29. września o godz. 1szej po południu w hali przy Bradley ul., urządzono biesiadę pożegnalną na cześć Dra Dunikowskiego. Przy stole zasiadło stutrzydziestu Polaków, gospodarza reprezentował ks. W. Barzyński, jako miejscowy probosz. Przy wznoszeniu toastow były liczne przemówienia programem oznaczone. Wieleb. ks. W. Barzyński, jako pierwszy mówca zaznaczył, że tylko na podstawie „wiary“ przyszłość Polski oprzeć można. Następnie Dr. Dunikowski zachęcał do szanowania się wzajemnie; partye tak zaznaczył, Zjednoczenie jest partyą konsewatywną, Związek jest partyą postępową, byt obydwu tych partyi jest potrzebnym a nawet koniecznym, prace obydwóch organizacyi podług przyjętego godła oddać mogą wielkie usługi nietylko miejscowej polskiej emigracyi, lecz wpłynąć na losy Polski. Organ Zjednoczenia nosi nazwę „Wiara i Ojczyza“ — czyż może być szczytniejsze hasło, wiara i miłość Ojczyzny są główne podstawy bytu. — Organem „Związku“ Nar. Pol. jest „Zgoda“; nazwa ta wykazuje, że zgody nam potrzeba ażebyśmy byli silni. — Szanowny delegat zakończył mowę życzeniem, żeby światło zgody i pojednania wyszło z nad Michiganu i wzniósł toast na cześć obywateli polskich miasta Chicago. —

Przemawiali pp. Z. Brodowski, M. Drzemała proszony ażeby przymówił w języku angielskim, H. Łubieński, M. Osuch. Prosił o głos nad program ob. S. F. Adalia Satalecki, Prezydent Rządu Centralnego Związku Nar. Polskiego, wypowiedział, że hasłem Związku Nar. Pol. jest nietylko wiara, lecz i ojczyzna i wzniosł w imieniu Związku toast na cześć delegata.

Przemawiał dalej p. K Żychliński; biorąc za temat „w silnem ciele silna dusza“, opowiedział rozwój Sokołów polskich w Ameryce, powstałych za przykładem Sokoła lwowskiego, który szeroko rozwinął skrzydła i objął tysiące młodzieży w Galicyi. — Podnosząc toast zakończył: „Niech żyje Polska, niech żyją Sokoły!“

Prof. Dunikowski zabrał głos „Niema puharu bez kropli goryczy“, tą kroplą goryczy jest myśl że was opuszczam. Delegat oświadczył że w kraju powiadomi braci naszych o wszystkiem co widział, co słyszał, następnie szczerze i serdecznie żegnał wszystkich.

Zabrali jeszcze głos, Wiel. ks. Kobyliński z Hammond, a następnie Szczęsny Zahajkiewicz, zakończył ucztę przemówieniem z toastem „Kochajmy się.“

Po obiedzie wszyscy udali się na dziedziniec, gdzie oczekiwali p. Niklas i Koiński dla zdjęcia ogólnej fotografii.

Nastąpiły popisy dzieci szkoły św. Stanisława, mowę powitalną wypowiedział Pawłoski, następnie chór chłopców odśpiewał bukiet melodyi polskich, odbyto ćwiczenia gimnastyczne, odśpiewano chórem „Marsz Sokołów“ i „Boże coś Polskę“; deklamował Kopczyński.

Dziewczęta i małe chłopcy pod kierownictwem Wiel. Siostr Notre Dame, zachwyciły widzów pięknemi śpiewy choralnymi i wykonanemi ćwiczeniami gimnastycznemi w kostiumach o barwach narodowych, — deklamował Kazio Adamski „Dworek“, a Wiktor Kołakowski po angielsku.

Na zakończenie trzy dziewczynki Literska, Kubicka i Jachorek, wypowiedziały w trzech częściach serdeczne pożegnanie, wręczając Dr. Dunikowskiemu kosz kwiatów i wypisaną ozdobnie treść przemówienia. Popis dzieci programem oznaczony wypadł świetnie.

Nastąpił Mass Mitting wieczorem; było na nim podobno zgromadzonych Polaków 6.000 osób, w każdym razie tylu, wielu obszerna hala pomieścić mogła. Towarzystwa wojskowe w dwa szeregi przez środek ustawione oddały honory wojskowe przebywającemu do sali Dr. Dunikowskiemu. Po ukończeniu marsza przez orkiestrę pod dyrekcyą p. Henzla, W. ks. W. Barzyński otworzył posiedzenie, zapraszając na prezydującego zebrania ob. Augusta Kowalskiego, na sekretarza S. Zahajkiewicza. —

Po odśpiewaniu pieśni narodowej przez chór męski pod dyrekcyą p. Kwasigroch, pierwszą mowę miał ks. Wincenty Barzyński, mówił o niezbędnej koniecznej solidarności pomiędzy Polakami, że zgoda i solidarność są potęgą narodową, że tylko ludzi wypróbowani, którzy dali dowód prac w wypowiedzianym kierunku, powinni stać na czele partyi (tu delegat kraju podaje mowcy dłoń) — bo, jak dziś rozdzieleni, jesteśmy prochem.

Z uczuciem i serdecznie przemówił w imieniu młodzieży p. Nehring podnosząc, że młodzież nie zaginie dla narodu, bo idzie pod sztandarem Bóg i Ojczyzna.

Nastąpiły ćwiczenia oddziałów wojskowych.

Deklamował p. Jóżwiakowski z zapałem wiersz S. Zahajkiewicza: „Ja się chlubię, żem Polakiem“.

Wprowadzono Dra Dunikowskiego na estradę, towarzyszyli mu księża prezydenci towarzystw i dziewczęta w bieli. Zabrał głos Dr. Dunikowski; w obszernym tomie winny być spisane liczne przemówienia jego, wszystkie są tak piękne, ciepłe i polskie. Szczytne wyrażenia mowcy były: „Jadąc do Ameryki, czerpałem natchnienia w kościele, na cmentarzach i kurhanach, na Wawelu, gdzie spoczywają kości królów, wodzów, bohaterów i uczonych“. Zachęcał i uznawał wzniesienie pomnika Tadeuszowi Kościuszce w Chicago. Mowę przy serdecznem pożegnaniu zakończył: „Pracujcie, a Ojczyzna zmartwychwstanie“.

Przemawiali jeszcze ob. S. Zahajkiewicz, Arkuszewski, A. Rudnicki i Mucha. Mass Mityng zakończył się o godzinie 11 i pół w nocy.

Dnia 1. października o godzinie 7 m. 45 wieczorem prof. Dr. Dunikowski z ogólnem żalem opuścił Chicago, udając się do Cleveland, O. — Do dworca kolei żelaznej, odprowadzili go członkowie Rządu Centralnego, redaktorzy i przedstawicieli tutejszej Polonii. *„Zgoda“*, *„Kuryer polski w Milwaukee“* i *„Kuryer Nowojorski“*.

Uroczystość 400-letniej rocznicy odkrycia Ameryki.

Odbyła się ona w Chicago z nadzwyczajną okazałością, każdy pragnął jak najwspanialej udekorować dom swój; miasto przybrało charakter wzniosłego święta narodowego, liczne towarzystwa i organizacye siliły się, ażeby jak najwspanialej przedstawić się w pochodzie uroczystości

Biorący udział w pochodzie d. 20. b. m. rozdzieleni zostali na trzy dywizye. Pierwsza dywizya składała się z ośmiu poddywizyi, druga z dziesięciu, trzecią dywizyą katolicką stanowiło piętnaście oddziałów. Ogólna liczba 3 dywizyi wynosiła przeszło 100,000 osób.

Dywizya polska witaną była z żywą sympatyą przez publicsność półmilionową, która zajęła miejsca na chodnikach, w oknach domów, na przestrzeni długiego marszu.

Wice-prezydent Stanów Zjednoczonych Morton, zastępujący miejsce prezydenta, który nie mógł przybyć na uroczystość Kolumbia, — przez czas przemarszu obok poczty, gdzie było urządzone honorowe wzniesienie, przyjmował dywizyą polską, stojący z odkrytą głową.

„The Chicago Herald“ tak się wyraża o niej:

„Szósta dywizya stanowiła dziwny kontrast do poprzednich dywizyi.

Dywizya ta licząca conajmniej 5.000 osób, składała się przeważnie z grup Związku Narodowego Polskiego, do których przyłączyły się i inne towarzystwa polskie, jskoteż i stowarzyszenie Kroatów, liczące 100 członków.

W porównaniu do rosłych i barczystych szkotów — sarmaci zdawali się być zmniejszeni niż są w rzeczywistości.

Ale za to polskie oddziały wojskowe pod każdym względem przewyższały szkockie.

Polak, będąc po większej częscl średniego wzrostu krępy, dobrze zbudowany, służyć może za idealny wzór żołnierza — mianowicie w malowniczym mundurze sławnych ułanów polskich. Szkoda tylko, że tak mała liczba ułanów polskich była na koniach.

Gwardye Kościuszki, Sobieskiego itd. przedstawiały się w malowniczych swych mundurach, czapkach polskich na dumnie podniesionych głowach, przy szablach u boku. Na widok Polaków żywiej biły wszystkich serca tak żołnierzy jak i cywilnych. To też przyklaskiwano im ze wszech stron. Członkowie Zw. Nar. Pol. wystąpili w owych pięknych czapkach polskich czterokańczastych, które słyną na całym świecie“.

„Staats Zeitung“ chicagowska pisze:

„Bardzo liczne i dobrze wyćwiczone były pięknie umundurowane polskie oddziały wojskowe, które w miniaturze przedstawiały wszystkie prawie części wojska dawnej armii Rzeczypospolitej polskiej.

Byli tam i sławni ułani polscy w mundurach malowniczych z złotemi wyłogami i w czapkach polskich na głowie, konni i piesi; ułani Kościuszki z amarantowemi wyłogami; piechota polska w mundurach niebieskich, zielonych i czarnych i w stalowych hełmach na głowie.

Dalej postępowały liczne towarzystwa cywilne, których piękne sztandary budziły ogólny podziw. Rzeczywiście przyznać należy, że polacy dzielnie się spisali“.

Pośrodku kolumny powiewały sztandary z orłem polskim. Obraz był wspaniały! Serce rosło na widok tych barw, ale razem ściskało się na myśl o naszem rozdwojeniu... nie byli tam bowiem wszyscy!

Nastąpiła trzecia wielka dywizya, dywizya katolicka.

Przewodniczył jej wielki marszałek kap. P. I. Cahill. Szefem sztabu i głównym adjutantem marszałka był urzędownie w tej dywizyi p. Piotr Kiołbassa; faktycznie jednak nie mógł iść na jej czele, ponieważ obowiązki skarbnika miasta Chicago powoływały go na inne miejsce. Pierwsi szli konni rycerze św. Patryka, dalej liczne oddziały leśniczych (Foresters).

Wreszcie oto wspaniała dywizya polsko-katolicka... Ośm tysięcy ludzi w szeregu! Przodem kilkudziesięciu konnych marszałków z pp. Paszkiewiczem, Arkuszewskim, Muchą, Jendrzejkiem, Fr. Wleklińskim, A. i J. Kwasigrochami na czele, a dalej wspaniałe rycestwo... Oto budzący podziw i gorące oklaski kadeci z karabinami za plecami na poprzek i rozkrzyżowanemi rękoma, oto ułani, oto gwardye, oto rycerze... Dalej nieskończona fala głów w pięknych konfederatkach z powiewającymi nad nią szeregami sztandarów, a nareszcie uszykowany w głębokie i długie kolumny tłum idący naprzód, wielki, ogromny, który zdaje się — nigdy się nie skończy. „To potęga!“ — mimowoli nasuwało się na myśl. Oddział polsko-katolicki bił łuną świetności od przodu, uderzał potęgą liczby i siły w tylnych szeregach. *„Zgoda“, „Wiara i Ojczyzna“.*

Otwarcie Biblioteki i Muzeum Narodowego

w Chicago.

O godz. 3.30 popołudniu 22. października br. Prezydent Rządu Centralnego polskiego Adalia Satalecki, zagaił na sali biura Rządu Centr. Zw Nar. Pol. uroczystość otwarcia mniej więcej jak następuje:

„Dziś już w 3 dzień wspaniałego obchodu 400-letniej rocznicy odkrycia Ameryki, naród polski na równi dzielił z wolnymi obywatelami Stanów Zjedn. dumę i radość ze zdobyczy swoich na tej nowej półkuli świata niedawno jeszcze weszłej w dziedzinę posiadłości cywilizacyi, a już tak zasobnej i tak wysoko posuniętej w swych urządzeniach politycznych, że daje swobodę i bezpieczeństwo rowoju indywidualnego wszelkim narodowościom.

Rozrzuceni daleko od kraju wśród obcych chociaż dosyć licznie, wśród ciężkiej walki o byt, sami jeszcze zbyt słabi, zamało mieliśmy czasu ażeby wytworzyć tutaj własną literaturę; na to się składają siły duchowe całych pokoleń. Lecz literatura nasza ze starego kraju posiada tyle skarbów nagromadzonych od dawnych wieków, odzwierciadła najwznioślejsze karty naszej przeszłości, wszelkie zdobycze duchowe, chwały i bole nasze; wszystko to stanowi najdroższą spuściznę narodu, jest to też i naszym udziałem. Mamy nietylko prawo do tej spuścizny, lecz jestto zarazem naszym najświęszym obowiązkiem, gdy doszlśmy materyalnie bo potrzebnej siły, gromadzić wszelkie zdobycze naszego narodu z przeszłości i czasu obecnego, jakoteż. i inne pamiątki drogie naszemu nczuciu narodowemu, ażeby one podsycały i kształciły uczucia i wiedzę ojczystą w nas samych i przyszłych naszych tutaj pokoleniach.

Świątynią dla nas tutaj stać się powinna obecnie otwierająca się Biblioteka i Muzeum Narodowe.

Skromne w swych początkach, są one zarazem bogatym zbiorem osiwiałego w pracy dla kraju patryoty ofiarodawcy naszego Dra Henryka Kałussowskiego.

Jak wiadomo wszystkim, Sejm IX Związku Narodowego polskiego na urządzenie i utrzymanie tej instytucyi na biażące dwa lata uchwalił po 500 dol. rocznie z dochodów bieżących. Rząd centralny do prowadzenia i Zarządu Biblioteki i Muzeum przybrał sobie do pomocy 9 dyrektorów, których pieczy nadal porucza staranie o odpowiedni rozwój tych instytucyi.“

Następnie sekr. jen. Związku Nar. Pol., A. Małłek odczytał akt darowizny Dr. H. Kałussowskiego, a zarazem układ z Rządem Centr. dotyczący Biblioteki i Muzeum Narodowego, oraz ustawy zarządu tej instytucyi. Gwardya Kościuszki prezentowała broń.

Następnie dyr. A. Koiński przemówił: „Słusznie zaznaczył delegat braci naszych pr. Dunikowski w swych mowach, że Związek Nar. Pol. reprezentuje partyę postępową, bracia zaś nasi zorganizowani w Zjednoczeniach i Unii partyę konserwatywną. Jak nam wiadomo, partye te egzystowały zawsze i egzystują w każdem społeczeństwie. Do jednej i do drugiej partyi należą ludzie głębokiej wiary w prawdę swych przekonań, przejawiających się w czynie i uświęcony ofiarą całego nawet życia. Tym sposobem obydwie, czy to działające w prostocie swego ducha czy z głębokiem przeświadczeniem, zasługują na uznanie i w obecnych warunkach mają racyę bytu.

Obecnie w nowo otwierającej się bibliotece będziemy mieli możność kształcenia się w ojczystym naszym języku, zapoznania się z ojczystą literaturą naszą, która wybitne zajmuje stanowisko w literaturze powszechnej i nosi właściwą wysoce odrębną i podniosłą cechę ducha naszego chrześciańskiego narodu. Z nią przedewszystkiem starajmy się zapoznawać młodzież naszą; u jej czystego źródła przedewszystkiem czerpmy wiedzę.

Wobec żywotności, siły i odporności narodu naszego, możemy ufać, że tu nawet przy wszelkich sprzyjających, jak dotąd, wynarodowieniu warunkach nie dojdzie do tego. Mamy naoczne przykłady w młodzieży tu urodzonej i wychowanej pośród której znachodzimy wielu poczuwających się być Polakami w całem znaczeniu tego wyrazu. Oni stoją wyżej nad nami tu przybyłymi, oni noszą cechy przyszłych sterników naszej narodowej mowy.

Czyż potrzeba wobec tego wykazywać doniosłość tej nowej instytucyi dla młodego pokolenia narodowości naszej? Pojmujemy to wszyscy chyba. Ufajmy więc rodacy, że da Bóg z rozwojem siły ducha naszego zginą waśnie, da Bóg, dojdziemy do silniejszego zespolenia w jednej organizacyi.“

Prezes Skarbu Nsrodowego. K. Małłek, przemawiał, że żadna praca nie jest zbyt uciążliwą przy dobrych chęciach, a dziś otwierająca się instytucya przez patryotów gorliwie wspieraną będzie; za przykład przedstawił Skarb Narodowy, który z ofiar centowych doszedł do pokaźnej sumy.

Przemawiało jeszcze kilku mowców. Odczytano i przesłano telgramy. Uroczystość zakończono spiewem „Boże coś Polskę“. *„Zgoda.“*

Rozmaitości.

— **Satysfakcya dla Polaków w Milwaukee.** Komitet powiatowy demokratyczny publicznie przeprasza Polaków obrażonych przez Baldwina. W „Kuryerze Polskim“ w Milwaukee z dnia 27. października czytamy co naśtępuje: „Wczoraj wieczorem zebrał się demokratyczny komitet powiatowy, który przyjął następującą rezolucyę jednogłośnie:

Niejaki D. W. Baldwin, zupełnie nieznany człowiek, uważał za stosowne w publicznej mowie obrazić ludność polską miasta Milwaukee a ponieważ:

Polacy w mieście naszem i w całym tutejszym kraju stanowią narodowość najinteligentniejszą, najpracowitszą, najzapobiegliwszą i najpatrotyczniejszą ze wszystkich narodowości, które szukają ognisk domowych pod sztandarem Stanów Zjednoczonych i ponieważ wykazuje historya dziejów Ameryki, że Polacy nietylko w ostatnich czasach bronili wolności tego kraju, lecz stali w pierwszych szeregach tych ludzi, którzy wywalczyli wolność i założyli podstawy bytu narodowego Stanów Zjednoczonych, jak tego dowodzą nazwiska Pułaskiego i Kościuszki —

Uchwalamy przeto, jako komitet demokratyczny powiatu Milwaukee i oświadczamy, że:

Wyrażenia użyte przez wspomnianego Baldwina stastanowią fałsz, że wszystkie jego uwagi tyczące się Polaków potępiamy, że stosownie do rzeczywistości należy o Polakach powiedzieć, iż zasługują pod każdym względem na najwyższy szacunek wszystkich amerykańskich współobywateli.

Uchwalamy nadto oświadczyć, że bliskie stosunki łączące nas z liczną ludnością polską miasta i powiatu, znajomość nasza dziejów polskiego narodu zniewala nas do złożenia im wyrazów najwyższego uznania i dodania świadectwa, że miłość ich przybranej tutejszej ojczyzny nie ma granic."

— **Polacy w Berlinie**. Polacy, kórych jest tam do 60.000 nie przyswoili sobie miejscowych zwyczajów. Rzadko tylko widzi się w restauracyi polską familię zajadającą przy piwie z domu przyniesione krajanki chleba, a nigdy jeszcze nikomu nie udało się spotkać w ogrodach kolonii willowych stołu uwieńczonego dzbankiem kawowym i kusemi filiżankami, przy którymby rozmawiano po polsku. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że szukając wiele możnaby znaleść wyjątków i że szczególnie młodzież niezależna bierze udział w zabawach Berlinczyków; ale w ogólności odosobniła się kolonia polska towarzyska od otaczających ją krajowców i bawi się na własną rękę, o ile na to zezwalają stosunki miejskie w domu a przeważnie na wieczorkach urządzanych przez polskie towarzystwa.

Wielka liczba towarzystw, z których każde prócz oficpalnych uroczystości narodowych dwa razy przeciętnie rocznie urządza towarzyską zabawę, na którą sprasza się członków każdego innego towarzystwa, pozwala zabawić się bardzo często w kole polskiem i uniknąć zbyt bliskiej styczności z żywiołem niemieckim, któraby z czasem mogła wyrobić niebezpieczną obojętnoscnarodową. Nic tak nie zbliża do siebie jak wspólne rozrywki i zabawy, gdzie w chwilach wolnych od troski otwiera się — szczególnie u nas Polaków — serce, gdzie, łatwo i bez wyboru często zawiera się stosunki przyjacielskie i robi nieraz pierwszy krok do związków na całe życie. Niejeden już Polak w Berlinie nie umiał oprzeć się wpływowi towarzyskiego życia z tybulcami i łudząc sam siebie wszedł z nimi w związki fomilijne, a dzieci jego zapomniały już zupełnie o swem pochodzeniu i nie miały nic pilniejszego, jak nadać niezrozumiałemu swemu polskiemu nazwisku formę niemiecką, o czem tak licznie świadczą napisy na berlińskich sklepach — o ile nie są żydowskie. Dzisiaj niebezpieczeństwo takiej amalgamacyi z żywiołem niemieckim znacznie zmniejszone dzięki zabawom polskich towarzystw, które nie wykwitne wprawdzie, ale wesołe i tanie, w jedno ognisko skupiają większość młodzieży emigracyjnej. *Dz. Pozn.*

— **Rząd rosyjski** polecił wszystkim dyrektorom fabryk, majstrom i werkmistrzom z miasta Łodzi i innych fabrycznych miast i miejsc w Królestwie polskiem, nie umiejącym ani po polsku ani po rosyjsku, opuścić Królestwo do dnia 1. stycznia r. b., jeśli nie udowodnią, że władają jednym lub drugim językiem. Dzienniki niemieckie w kilku tygodniach po wydaniu powyższego rozporządzenia głosiły, że Rząd rosyjski przedłużył pobyt w Królestwie wyżej wymienionym osobom do r. 1894. Tymczasem wiadomość ta jest **fałszywą**, nikt tam bowiem nic nie wie o żadnej prolongacie. Przeciwnie inspektorzy fabryczni spisują wszystkich tych dyrektorów, majstrów i werkmistrzów którzy są cudzoziemcami a nie znają języka polskiego lub rosyjskiego i zapowiadają im, że w końcu roku bieżącego muszą opóścić swe stanowiska i Królestwo.

Byłoby więc wskazanem żeby w miejsce usuniętych cudzoziemców przybyli Polacy będący obecnie na obczyźnie rozrzuceni po fabrykach niemieckich. Należałoby w jaki skuteczny sposób to rozgłosić. Leży to w iuteresie właścicieli fabryk w Królestwie polskiem. *Dz. Pozn.*

— **Obieżysasi** wracają obecnie tłumnie do swych stron rodzinnych. Do Podzamcza przybyło, jak donoszą ztamtąd do „Pos. Ztg.", w tych dniach około 300 obieżysasów. Obieżysasi, pochodzący z Królestwa Polskiego, usiłują tajnie przedostać się przez granicę skutkiem czego często tam zachodzą starcia między nimi a urzędnikami pogranicznymi.

— **Sudiebnaja Gazeta** donosi, że **rosyjska Rada stanu** ma się zająć **ograniczeniem emigracyi do Rosyi.** Projekt dotyczącego prawa ma być powtórzeniem prawideł obowiązujących np. niemieckich kolonistów Wołynia. Nie życzy sobie widać rząd rosyjski nowych kolonistów i nic dziwnego, kiedy już nie wie, co robić z własnym „mużykiem", a podług rosyjskich gazet emigracya ludu wiejskiego do Syberyi wynosiła już w tym roku do 1/13 września około 75.000 dusz partych na wschód głodem i cholerą.

— **Archimandryta poczajowskiej ławry** odniósł się do Petersburga z prośbą, aby rząd rosyjski tym włościanom galicyjskim którzy, opuściwszy Galicyą, przyjęli prawosławie w Poczajowie, nadał grunta. Otóż jak piszą z Petersburga, rząd przychylił się do powyższej prośby i wskutek tego włościanie ci mają być osiedleni na wschodniem wybrzeżu morza Czarnego.

— **Górno-szlązkie Polki w Berlinie.** „Górnoszlązkie Polki" muszą być dzielne kobiety, kiedy potrafiły w Berlinie owładnąć handlem koszykarskim, po ulicach stolicy. „Germania" tak pisze: Mężowie owych Polek jesienią zakupują od urzędu regulacyi rzeki Odry wici koszykarskie, któremi porosłe jest całe wybrzeże Odry. Wici te przerabiają na surowy lub kunsztowny towar. W Berlinie istnieje centralny magazyn pod zarządem kobiet, a pracowite ręce ich usiłują wynajdywać po ulicach zbyt dla swego towaru. Dzielne niewiasty!... *Dziennik Chicagowski.*

— **Położenie kolonistów w dobrach 100 milionowej pruskiej komisyi kolonizacyjnej.** Z Kłecka zamieszcza ktoś w „Posener Ztg." takie żale o rozpaczliwem położeniu osodzonych na parcelach komisyi kolonizacyjnej nowych bojowników niemieckich:

„Mimo pięknego wyglądu kolonii i mimo dobrych żniw tegorocznych, w dobrach komisyi kolonizacyjnej cierpią koloniści wielką biedę. Osiedli oni na swych parcelach bez drzewa i zniewoleni byli żyć z gotówki. Kilka lat żniw nieudanych podwyższyły jeszcze wydatki. Tymczasem upłynął także czas, w którym zwolnieni byli od płacenia podatków. Pieniądze, jakie z sobą przywieźli, zużyły się, a tu trzeba płacić podatki. Prośby o zaczekanie na podatki lub opuszczenie tychże tylko w rzadkich przypadkach bywały uwzględniane. Skutkiem nieuiszczenia się z podatków nie-

którym kołonistom obłożono paszę aresztem, skutkiem czego nie mają czem paść inwentarza".

— Jersey City również w Niedzielę dnia 18. b. m odbyła się ceremonia położenia kamienia węgielnego pod nowy polski kościół i polską szkołę. Polskie Towarzystwa z całej okolicy wzięły udział w tej uroczystości.

— Ob. Erazm Jerzmanowski z New Yorku ofiarował w tym roku do Muzeum narodowego w Kaperswylu następujące przedmioty: Autograf Ks. J. Poniatowskiego; trzy bilety skarbowe z roku 1794 monetę z roku 1794; trzy krzyże Virtut.-Militar. z r. 1808.

ODEZWA.

Wśród odwiecznych puszcz brazylijskich nad bystremi nurtami rzek Iguassu, Rio Negro, Rio Vermelho, Itajahy, Tibagy i innych pomniejszych, szeroko rozrzucona wzdłuż wszystkich ważniejszych szlaków i dróg komunikacyjnych stanu Parana (i graniczących z nim departamentów przyległych stanów S. Catharina, Rio Grande i S. Paulo.) rozchodzi się dzisiaj coraz dalej jednolita sieć farmerów polskich, łączących mniej lub więcej kwitnące, stosownie do czasu swego istnienia i położenia geograficznego, wsie i pomniejsze kolonie, które rosną powoli lecz stale przez przypływ z jakiej strony rodzin i krewnych osadników przybyłych z kraju, z drugiej przez napływ do tych osad rozbitków z ostatniej gorączkowej emigracyi. Ci, rozsiani byli poprzednio na całym obszarze olbrzymiej rzeczypospolitej, a zapełniają dzisiaj tłumnie urzędy kolonizacyjne w Curitybie i centrach kolonialnych po długiej a najczęściej nieszczęśliwej wędrówce i błąkaniu się za chlebem po miastach portowych lub plantacyach i fazendach. Liczba osiadłych Polaków w samym stanie Parana, rozległym tak jak Austrya, a prawie zupełnie nie zaludnionym, już dziś oznaczyć możemy co najmniej na 60.000. Jest więcej niż pewnem, iż obecnie kolonie polskie są zarodkiem przyszłego społeczeństwa nowopolskiego, a dzisiejszy postęp kolonizacyi połskiej w Paranie świadczy, iż żywioł polski jako dzielniejszy w rolnictwie i przy karczowaniu dziewiczych lasów nietylko od niedołężnych krajowców, ale także i od obcych zwykle rolnictwu emigrantów niemieckich i włoskich nie ulegnie w walce konkurencyjnej, lecz niezadługo już osiągnie tam najzupełniejszą przewagę liczebną nad innoplemiennemi żywiołami.

Byłoby więc wielkim błędem odnosić się nadal z dotychczasową obojętnością do naszego wychodźctwa brazylisko polskiego. Młode społeczeństwo polskie w Brazylii znajduje się obecnie w stanie zarodkowym, a od pomocy metropolii zależeć będzie jak się ono i w jakim stopniu rozwinie. Nie chodzi tu jednak o pomoc materyalną — takiej pomocy wychodźcy nasi nie potrzebują, lecz jedynie o pomoc duchową, o szczere i trwałe zajęcie się odłamem narodu, który przez lat przeszło 20 swego istnienia dał dowody niezbite swej żywotności i łączności.

Redakcya pisma naszego otrzymuje ciągle listy z ustawiczną prośbą o polskie książki i gazety; każdy list z tamtejszych kolonii zawiera słowa „brak nam polskich książek." Czyż wobec tego może nasza Redakcya nie pośredniczyć w zbieraniu książek polskich dla szkół i towarzystw polskich w Ameryce południowej? Zwracamy się więc do wszystkich ludzi dobrej woli, by raczyli przesyłać na ręce redakcyi Przeglądu emigracyjnego **Lwów, Ossolińskich 11.** lub Dr. Józefa **Siemiradzkiego, Lwów ul. Sakramentek 18.** książki i czasopisma wszelakiej treści.

W piśmie naszem będziemy naturalnie ogłaszali przyjęcie tych darów i wskazywali, dokąd je wysłaliśmy.

Polskie zaś wszystkie pisma, przedewszystkiem ludowe i rzemieślnicze upraszamy by w dobrze zrozumanym interesie własnym z początku może bezpłatnie i w kilku ngzemplarzach przesyła numerały swe do następujących polskich towarzystw:

— S. America. Brazil. Parana. Curityba. Sociedade polaca Kościuszko.

— S. America. Brazil. Saõ Paolo rua dos Andradas 15 E. Beneficencia polaca, Jabłoński.

Nie ograniczamy się jednak w sprawie przesyłki książek jedynie na wskazaniu brazylijskiej prowincyi Parana i okolic jej bliskich. Otrzymaliśmy list z północnej Ameryki, który zamieszczamy cały dosłownie; nie potrzebuje on żadnego komentarza.

N. America U. S. Detroit, Mich., Polish Seminary 28. października 1892.

Szanowna Redakcyo!

„Znając Szanownej Redakcyi życzliwość względem Polaków osiadłych w Ameryce, ośmielam się za jej pośrednictwem zapukać do wspaniałomyślności i miłosierdzia braci naszych w starych krajach polskich o mały, a wielkiego dla znaczenia, dar wdowi w postaci **jakichkolwiek książek, a szczególnie z dziedziny literatury polskiej.**

Dzięki wytrwałej pracy i poświęceniu zacnego kapłana-Polaka przewiel. X. Dąbrowskiego powstał na wolnej ziemi Waszyngtona wyższy zakład naukowy polski w Detroit. Jestto jedyna szkoła wyższa w której młodzież może czerpać wiedzę w polskim w ojczystym języku. Zakład ten pięknie się rozwija i ma przed sobą wielkie zadanie do spełnienia: ma on ratować język polski, tę najdroższą po religii pamiątkę, jaką emigranci ze sobą ze starej ojczyzny przynieśli. Obok wykształcenia umysłowego w duchu

narodowym, ma ten zakład kształcić serce, wyrobić charakter, wpajać głębokie zasady katolicyzmu i przywiązanie do kościoła. Tu mają się wyrobić przyszli przywódcy narodu polskiego w Stanach Zjednoczonych, przyszła inteligencya naszej emigracyi. — Wprawdzie jako obywatele Stanów Zjednoczonych muszą oni władać językiem angielskim, jako zaś Polacy powinni gruntownie poznać język macierzysty, poznać historyą swego narodu i jego literaturę. — Zakład nasz przeto dokłada wszelkich starań, aby wychowańców swoich w tym duchu kształcić, wlać w nich zamiłowanie do rzeczy ojczystych, pokazać im piękność i bogactwo piśmiennictwa naszego, a kiedy młodzież zasmakuje w piękności naszych utworów, to i z sercem przylgnie do tego co polskie, co ma związek ze starą Ojczyzną.

Ale, niestety, zakład nasz musi walczyć z różnemi przeciwnościami, nawet ze strony tych, od którychby się słusznie mógł spodziewać poparcia. Nie może więc na razie podołać wszystkiemu, nie mając na to odpowiednich funduszów. Najniezbędniejsze wydatki swoje pokrywa z dobrowolnych składek ludu polskiego, lub z ofiarności szlachetnie myślących i o dobro ludu dbałych kapłanów polskich.

Nie ma tu biblioteki, jaka przy takich zakładach jest niezbędną i jakiemi się cieszą podobne zakłady w Galicyi. Szczególnie uczuć się daje brak utworów naszych pisarzy. Trzeba się ograniczyć na najniezbędniejsze i stare podręczniki szkolne, a młodzież, która bardzo chętnie lubi rozczytywać się w utworach naszych poetów i prozaikow, zmuszona zadowolić się nader szczupłą liczbą książek polskich, jakie w zakładzie się znajdują, a są to najczęściej dzieła ściśle naukowe, przeważnie teologiczne, przeznaczone nie dla gimnazyastów, lecz dla teologów. Młodzież zaś tutejsza zrodzona i wychowana na ziemi amerykańskiej, jako dzieci robotników, nie wynosi z domu wcale poprawności języka, a bardzo małą znajomość jego. A czyż go się nauczyć może, choćby w najlepiej urządzonym zakładzie, bez własnej pracy poza godzinami szkolnemi? Sami czytelnicy osądzą to najlepiej.

Przeto w imieniu zakładu i w imieniu młodzieży tutaj się kształcącej, podnoszę błagalny głos do serc patryotycznych w Polsce o wspomożenie tej tak ważnej instytucyi jakimkolwiek, choćby najmniejszym **datkiem w książkach.** Znając ofiarność Braci naszych w starych krajach polskich, tuszę sobie, że głos mój nie będzie głosem wołającego na puszczy, lecz że znajdzie się pewna liczba szlachetnych ofiarodawców, którym zakład nasz będzie miał do zawdzięczenia powstanie biblioteki. Przez ten, tak na pozór mały czyn, przysłużą się oni wielce tak zakładowi, jak i całej emigracyi polskiej w Ameryce.

Ratujmy język ojczysty, a przezto uratujemy religię, bo tak długo naród polski zostanie tu katolickim, jak długo będzie mówił po polsku.

Łaskawe datki proszę przysyłać do Redakcyi „Przeglądu emigracyjnego“ we Lwowie.

Z szacunkiem
Ks. Paweł Ćwiąkała,
profesor Zakładu, kapłan dyecezyi przemyskiej.

Inne czasopisma krajowe polskie, przychylnie usposobione dla naszego zakładu, upraszam o powtórzenie łaskawe niniejszej odezwy.“

— Usilnie i my prosimy wszystkie pisma polskie o powtarzanie tak naszej odezwy, jak też i tej, którą w formie listu przesłał nam wiel. ks Ćwiąkała.

Redakcya.

INSERATY.

TREŚĆ. Nowa kolonizacya polska w Brazylii. — Korespondecya z Curibyby nap. B. — Emigracya z wschodnich prowincyi monarchii pruskiej nap. A. Parczewski. — Odkrycie 4tej dzielnicy (ciąg dalszy). — Uroczystości Kolumbijskie w Chicago — olbrzymi pochód. — Otwarcie Biblioteki i Muzeum polskiego w Chicago — Rozmaitości. — Odezwa o przesyłaniu czasopism i książek dla rodaków na obczyźnie. — Ogłoszenia.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny Bogumił Sternad. Z I. Związkowej Drukarni we Lwowie.